Ner 14. (2.) Kraków, dnia 16go Lipca 1879. Rok X.
(Od założenia pisma).

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

„Włościanin“ wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. „Włościanin“ kosztuje rocznie złr. 3 w. a., półrocznie złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie złr. 5, półrocznie złr. 2 cent. 50, kwartalnie złr. 1 cent. 25. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują oba 4 talary. W Cesarstwie Rosyjskiem razem kosztują oba rocznie 6 rubli sr., zaś pojedynczo 3 Rsr. i 50 kop. — Manuskrypta nie zwracają się.
(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. C. Aleksego w. i Berty p.
18. P. Szymona z Lipnicy w.
19. S. Wincentego à Paulo w.
20. N. Czesława i Kas.
21. P. Kamillą i Daniela pror.
22. W. Maryi Magdaleny pok.
23. Ś Teofila i Apolinarego b.
24. C. Krystyny panny.

Ogłoszenia i inseraty przyjmuje się po 5 ct. od wiersza. **Listy frankowane lub przekazy pocztowe** należy adresować: Do Redakcyi „Włościanina“ i „Zagrody“ przy ulicy Floryańskiéj Nr. 371 pierwsze piętro.

Prenumeratę przyjmuje: Ajencya główna na Cesarstwo Rosyjskie w Księgarni Wgo Ferdynanda Hösicka w Warszawie.

Zbiór posiewów czyli żniwa.

(przez starego Agronoma).

Nie mamy tu na myśli tyle strony materyalnéj, zatem straty lub zysku w najprozaiczniejszem słowa znaczeniu, ile inne straty lub zyski, których dobry Pan, dobry Ekonom, Rządca lub jakikolwiek choćby najniższy Oficyalista nie tyle zbiorom czyli żniwom ile dworowi, wiosce a nieraz całej okolicy przysparza, kiedy się zachowuje tak, jak nie należy lub tak jak się godzi.

Przyznajemy, jak już przyznaliśmy, że natura naszego ludu jest leniwa, a robić „na pańskiem“ uczciwie, to tak jakby się coś niedorzecznego powiedziało, lub jeszcze czegoś niedorzeczniejszego wymagało. Wszak to weszło w przysłowie, kiedy się komu perswaduje, żeby robił uczciwiéj i sumienniéj, to się mu mówi: „robisz bracie jak na pańskiem“, tylko się oglądasz za słońcem — byle ci dzień zeszedł a ty abyś dostał twoją płacę i t. p. Otóż znanem jest u nas powszechnie, „że jak na pańskiem, to się ot tak niby spycha, spycha, byle zbyć.“ Wynik z tego, że nieraz trzeba swoją własność właścicielowi wziąć w obronę przed oszustwem i marnowaniem czasu przy pracy, po prostu Pan, Ekonom, Rządca, Polowy musi zatwierdzić swoją władzę i łagodnie i ostro do robotników przemawiać. W tym punkcie winnym jest ten, co jest bez sumienia na zogonie lub przy kosie czy przy motyce lub grabiach, a jest rzeczą prostą, jeżeli się Pan lub jego zastępca sroży lub gniewa.

Przeciw też należytemu dochodzeniu pracy, za którą się płaci drogo i ciężko, nie mógłbym się odezwać, bom sam był skrupulatnym w żądaniu pracy, ale powstaję przeciw nadużyciom nie tyle ze strony Panów Dziedziców samych, ile ze strony ich administratorów, ekonomów, rządców, pisarzy aż do polowych, którzy nie znają miary w przekleństwach, w obrzydłych jakichś nazwiskach, niemoralnych historyjkach i dykteryjkach lub jeszcze w czemś... gorszem. W ten sposób moi mili Panowie daleko nie zajdziemy, jeżeli to, co ksiądz z ambony i z konfesyonału, w nauce szkolnéj i niedzielnéj buduje, czego nauczyciele po szkołach, a rodzice przy pacierzach rannych i wieczornych nauczają. Wy swojem brutalnem obejściem rujnować będziecie. Czasem najlepszy chłopiec i najlepsze dziewczę wyjdzie na łan pański do żniwa, i ma ten wysoki respekt dla dworu i dla tych, co surduty noszą, a tymczasem paskudne przekleństwa, wyuzdane i rozwiozłe przymówki lub czyny panów polowych, pisarzy, ekonomów i rządców, którzy ludzi pilnują, zdzierają tę piękną sukienkę wstydliwości i niewinności — i te czyste dusze razem z zapłatą wieczorną za robotę, biorą zapłatę za niewinność, za cnotę swoją, którą tu straciły, gdzie jej przykład i potwierdzenie znaleźć były powinny.

A czy to na tem koniec? Czy prócz zatraty duszy niewinnego parobczaka lub niewinnéj i czystéj dziewicy, nie następują inne straty, a straty nieobliczone? To zupełnie inne pytanie. Więc o tem choćby słówkiem.

Że im moralniejszy robotnik, tem lepsza i uczciwsza robota, tego podobno nikt mi nie zaprzeczy. A jeżeli tak jest, jeżeli na to wszyscy się piszemy, toć nie tylko rzeczą obojętną, ale w najwyższym stopniu obchodzącą, po prostu jest obowiązkiem choćby dla własnego interesu

przedewszystkiem dworów i dworzan szerzyć moralność wśród robotników i najemników. A jak to uczynić?

Wiele jest dróg i sposobów na to. Na łanie zacząć się powinno choćby od tego, żeby ludu nie psuć, nie obrażać jego wstydliwości i niewinności przez paskudne i szkaradne przezwiska lub porównania, przez przekleństwa, pomsty, obelżywe wyrazy, co wszystko nie nastąpi, gdy Pan Dziedzic i Pani Dziedziczka zwrócą uwagę, jakimi się otaczają ludźmi zostającymi pod ich rozkazami, a w codziennem z ludem zetknięciu. Łatwo przejrzeć szczególnie Wielmożnéj Pani, co to są za ludzie polowi, tacy pisarze, rządcy i ekonomowie — i skarga sprawdzona w téj mierze czy to przeciw niższym czy wyższym oficyalistom powinna pociągnąć za sobą ostrą naganę i skarcenie, a wrazie powtórzenia odprawę ze służby. Więcej Dziedzic zyska, kiedy odprawi niegodnego oficyalistę ze służby, niż kiedy tenże lud psuje a lud roboczy, lud, który jest mu pomocą i z którym zawsze pozostanie w takich stosunkach.

Zresztą jeżeli oficyalista jest wyuzdany, żyje bez Boga, to on nie jest i nie może być prawdziwie użyteczny swemu panu, owszem to jest najniebezpieczniejszy człowiek — i taki potrafi cały pański majątek jeżeli nie zrujnować, to dobrze nadszargać, bo on rozporządza ludźmi stu lub więcéj, a przez ile to tygodni, dni — ile tam pracy pańskiej pójdzie marnie, ile ludzie godzin daremnie wystają — a kto to wszystko pokrywa? Nikt, tylko Pan Dziedzic — tylko jego kieszeń.

Błogosławić natomiast te dwory, a przybywa ich dzięki Bogu coraz więcej, co już trzymają się zasady postępowéj, ludzkiéj, a która brzmi: *„Ty oficyalisto rób i obchodź się z ludźmi najemnymi dobrze, bo inaczej cię napędzę“*, a nie tej dawnej: *„Najemniku bestyo! rób, bo cię wypędzę z pańskiego!“* I dobrze z tem nowem hasłem i ludowi i dworowi, a tylko trochę powściągliwości, trochę hamulca nałożyć sobie muszą oficyaliści. Téj też zasady żądać trzeba od panów ekonomów, rządców, pisarzy, polowych — a lud będzie chętnie pracował na łanie pańskim i będzie go tam coś ciągło, bo i ten łan pański, i ta ciężka praca, i ci surdutowi ludzie stojący na skwarze słońca, na deszczu lub wietrze przyczynią się do podniesienia moralnego robotników i najemników — a czegóż wielkiego do tego potrzeba? Oto dobréj woli ze strony Panów Dziedziców, że sobie tak życzą i że tak być musi, aby lud pracujący nie odchodził codziennie więcéj zepsuty i gorszy aniżeli przychodzi na zagon. Powtóre potrzeba temu rządcy lub polowemu wiedzieć, że ten lud pracujący jest jego bratem lub siostrą, a choć on w kapocie lub w surducie, a najemnicy w siermiędze lub w guni i chodakach grubych, to serce może być czystsze i szlachetniejsze niż pod surdutem, i że wszystko to, co słyszy robotnik lub najemnik, składa się na sąd o takim jegomości i że przy sposobności nie daruje mu jakie wieśniacze pióro i wieśniacza gazeta. Patrzcie moi panowie, cóż Was kosztuje dobre i poczciwe słowo do robotników? Wszak tyle ile złe i sprosne. A kiedy tak, to rzeczą jest chyba dzikiego i zepsutego serca a głupiego umysłu, aby się nie można dobrze i z godnością obchodzić z ludem. Jeżeli wszyscy pragniemy oświaty ludowéj, jeżeli różnémi drogami do téj oświaty zdążamy, to nie mały i nie ostatni jest ten posterunek, kiedy się kilka całych miesięcy dzień w dzień spotykamy z temi samemi osobami. Co tu może dobry przykład, dobre słowo, należyte obchodzenie się z ludźmi na robotę przybyłymi, to doprawdy ledwie pomyśleć można.

„Wielebni Proboszczowie znowu tem grzeszą, że kiedy od południa najmują, to zbyt wczas, a kiedy od południa rozpuszczają ludzi, zbyt późno pozwalają czy każą dziadowi dzwonić na południe,“ opowiadał mi pewien włościanin, mój rataj późniejszy — i ani kilka lat nie pomogło mu perswadować, że to być nie może, że się chyba pomylił. Ale pewnego razu były żniwa mokre, każdy chwytał jak to powiadają z pola jak kradzione przed słotą. Południe dobiega, dzwonią na Anioł-Pański w kościele, a mój Maciek powiada do mnie: „Aha! teraz już dzwonią, bo ksiądz proboszcz ma wiązać jęczmień i ludzi zmówił, a bydło jeszcze w polu, i my tu pokładamy ściernisko.“ Wyjmuję więc zegarek i mówię: „Ot Maćku to ja przewlekam, boście już od półgodziny powinni południować, a bydło dla tego nie spędzają, bo jeszcze nie dzwoniono na Anioł-Pański. Widzisz jak się mylisz, i tak zawsze się myliłeś.“ Ale chłop uparty i teraz ruszył ramionami jakby mówił „wierzy, kto musi!“ Czemu był taki uparty, nie wiem.

Kończymy to pisanie uwagą, która pewnie bez wrażenia przejdzie, iż jakby Dwory ogromnie wiele zyskały, gdyby potrafiły u robotników i najemników obudzić to zaufanie szczere i prawdziwe, gdyby ich przywiązały do siebie! Daj nam Boże doczekać, aby polski lud z polską szlachtą razem na łanie z Bogiem i ku pożytkowi własnemu orali, siali i zbierali — a w gromadzie radzili wspólnie z braćmi Włościanami,

jak w kościele przystępują razem do tego samego Pańskiego stołu.

Pozwólcie jeszcze kiedy staremu pomarudzić.

Orle gniazdo.

Biały orzeł swego rodu
By uwiecznić w kraju znamie,
Zahartować dzielne ramie,
Bierze orle z gniazda płodu,
I podnosi je wysoko,
By patrzało oko w oko,
W promień słońca okiem wiary.
A szybując z nim w przestworze,
Dopatruje w światła zorze,
By nie zamknął swe źrenice,
Na prawd wiecznych obietnice,
Błogosławieństwa, lub kary.
Gdy też patrzy orle młode,
Czystém okiem w słońca twarz,
W nim pociechę i osłodę,
Z syna swego ojcze masz.
W nim zwycięztwo widzisz swoje,
A pasując na rycerza,
Uczysz męztwa i pacierza,
Znosić trudy, prace, znoje,
Wielbić krzyża święty znak,
Bo on orłów białych szlak,
I zwycięztwa znak.
Niechże orlę zamknie oko,
Przed jasnością prawdy słońca,
Już nie wzleci z niém wysoko,
Bo nie licząc między syny,
Zetrze znamie zeń rodziny.
Wrzuci w przepaść, a... bez końca.
A z orłów gniazda, orlich szponów,
Spada ćma kawek i gawronów.

Antoni z pod Krzeszowic.

Sławne niewiasty polskie i ruskie.

I.

MAŁGORZATA z ZEMBOCINA.

(Dokończenie).

Lecz w tém, bezprawia dziejące się w Polsce, doszły do rozpustujących na Rusi małżonków. Ujęty żalem, gniewem, zazdrością, rozpaczą, w jeden moment obóz cały okropne wystawia zamięszanie. Małżonkowie tak pobłażający własnym zbrodniom, żonom podobnych przebaczyć nie mogą, bo wiedzą, że kobieta z wstydem wszystkie cnoty traci i do największych sposobi się występków! Biegną hurmem do króla, cisną się do gmachu, w którym przemieszkiwał. Bolesław zajęty zabawami i rozkoszą, nie chce słuchać ich skarg i próśb; rozgniewani przekładając obelgę domową, nad srogość kary spotkać ich mogącą, odjeżdżają do ojczyzny, bez pozwolenia królewskiego. Przykład ten ciągnie drugich, i wkrótce Bolesław z garstką tylko swoich, zostaje w Kijowie; z tymi, którzy są albo wolni, albo zapamiętale w Rusinkach rozkochani, albo też wierni powinności i monarsze swemu. W liczbie tych był Mikołaj z Zembocina; dopełniając ściśle obowiązków poddanego, został przy królu. Ta ofiara nie tyle go kosztowała, ile się zdawać może, bo przekonany był o Małgorzaty cnocie; lecz mniéj pewny o jéj życiu, posłał zaufanego domownika, żeby się o jéj losie dowiedział; nie zlecił mu, aby pani swéj pilnował, bronić ją tylko kazał. — Przybył wierny Piotr do Polski; przybył wraz z zawziętymi i słusznie oburzonymi małżonkami. Któż zdoła opisać okropność téj chwili? umyka pióro przed obrazem tak hańbiącym ludzkość!... Mężowie zbrojni pałający zemstą, dopominali się o swoje żony; kochankowie nie chcieli puścić złapanéj zdobyczy. Powstały kłótnie, najazdy, rozboje. Same niewierne kobiety stawały przeciw małżonkom; jedne z bojaźni sprawiedliwéj kary, drugie z przywyknienia zbyt prędkiego do zbrodni i do miłośników. Trzeba się było wstępnym rozprawić bojem, i miecze zardzewiałe po krwi Rusinów, zmyć w piersiach występnych rodaków. Zwycięztwo wówczas lepszéj towarzyszyło stronie; pokonali mężowie; i nietylko potracili najsroższemi mękami podłych zastępców swoich, ale nawet okropną śmiercią karali żony.

Wśród tego zamięszania, zgiełku, szczęku zbroi, odgłosu gniewu, miłości i zemsty, pochwały dawane cnocie Małgorzaty, wszędzie się słyszeć dawały i uwiadomiły Piotra o jéj losie.

Ona prawie sama jedna — mówiono powszechnie — wyniosła się nad płeć swoją, w jéj łonie cnota wzgardzona, godną siebie znalazła świątnicę. Lubo jéj młodość i wdzięki, celem ją czyniły miłości najpierwszych w kraju młodzianów, niczém nie uwiedziona wśród występku trwała stale w cnocie, jak dąb stuletni, którego żadna burza zachwiać nawet nie zdoła. Rzadkie jéj postępowanie otrzymało nagrodę; bo wtedy gdy dom jéj już najechanym miał być od rozpustników, a młodzianie coraz śmielsi, znikła, i mniemanie było powszechne, że Wszechmocny nie chcąc ją narażać dłużéj na widok i podstępy zbrodni, przeniósł w jednéj chwili do aniołów siedliska. Napróżno niewierząc w te pogłoski,

zwiedził Piotr cały Zembociński zamek, napróżno pytał się szanownego plebana tamtejszego kościoła, stryja Małgorzaty, i wchodził troskliwie do każdego kmiotka lepianki, nigdzie więcéj dowiedzieć się nie mógł; wracał stroskany do swego pana, a pamiętając dobrze pani swojéj cnoty, wierzyć zaczynał, iż ją umieścił Przedwieczny w gronie swoich aniołów. — Zaledwie mil kilkanaście ujechał, gdy napotkał wracającego króla, w podobniejszym do uciekającego, niźli do zwycięzcy sposobie; w małéj garstce otaczających go rycerzy, ujrzał Mikołaja najbliżéj boku jego. Niespokojność o los ukochanéj małżonki, widok zburzonéj ojczyzny, nie obcemi najazdami, nie walecznych krajowców odporem, ale zbrodnią i własną rodaków ręką, więcéj zmieniły męża Małgorzaty, niż blizko pół wieku przepędzonego w bitwach i w obozie. Skoro poznał rycerz wiernego sługę, pytał się skwapliwie o los małżonki; potwierdzenie jéj cnoty, rozrzewniło serce jego, lecz gdy się dowiedział, że już może nie ujrzy jedynéj jego po stracie cnoty króla, i zniszczeniu ojczyzny pociechy, żal osuszył powieki, bladość śmiertelna okryła zorane czoło, serce drżyć mocno poczęło, i dziwił się żołnierz, że lat tyle spędzonych w obozie, tyle mu jeszcze zostawiły czułości.

Pożegnawszy zemstą tchnącego króla, pospieszył do Zembocina. Rozdarty tylu klęskami umysł łatwo dał wiarę najdotkliwszemu nieszczęściu; pewnym był Mikołaj, że Małgorzata do ostatniéj przywiedziona ostateczności, wolała życie niż cnotę utracić; chciał tylko ujrzyć raz jeszcze to miejsce w którém tak był szczęśliwy i umrzeć. Przyjechał: widok zniszczonych murów, ogołoconych przez najezdnika gmachów, nie zrobił na nim wrażenia. Małgorzaty tylko oczy jego i serce szukały; nie znalazłszy, nie dbał o resztę! Znurzony rzucił się na samotne łoże; już od kilku godzin, noc swe czarne rozpostarła cienie, przeraźliwy wrzask puszczyka niekiedy tylko głuche przerywał milczenie, a nieszczęsny rycerz snu jeszcze znaleźć nie mógł, i nie wołał go nawet; rozpacz żadnéj mu obcéj nie dozwalała myśli. W tém słyszy krok nie pewny i zwolna postępujący, otwierają się drzwi, wchodzi osoba w czarném odzieniu, z poważnego głosu poznaje Mikołaj zembocińskiego plebana. Nie wita się z nim, nie pyta o przyczynę tak późnych odwiedzin, żal mu swój wynurza i łzami ręce jego skrapia. „Uspokój się zacny rycerzu — rzeknie do niego sędziwy pleban — cnoty twoje zjednały łaskę niebios, będziesz szczęśliwy, Małgorzata żyje.“ — „Zyje i cnotliwa! — zawołał Mikołaj — żyje! o Boże, nie jestem godzien tak wielkiéj pomyślności! gdzież jest? kiedyż ją zobaczę?“ — „Idź za mną — odpowie pleban — ujrzysz ten wzór niewiast.“ Zrywa się z łoża zdziwiony Mikołaj, powtarzać sobie każe tak czarujące słowa, bo wierzyć im nie śmie; idzie, żałuje, że biedz jak młodzian nie może. Pleban prowadzi go do kościoła! wchodzą ukrytemi drzwiami, wstępują na kręcone schody; po kilka razy rycerz odpoczywać musi; radość dech mu odejmuje; nareszcie gdy już ścieśnione wejście nie dozwala plebanowi wspierać pana swego, gdy Mikołaj pomocy szabli potrzebuje, żeby się na wązkich i drabiastych utrzymać schodach, dochodzą do upragnionego kresu i Małgorzata rzuca się w objęcia szanownego małżonka. Rycerz pojąć szczęścia nie może, utrzymać się nie jest wstanie, pada na ziemię, ściskając kolana żony, łzami i przerywanemi słowy szczęście swoje tłómaczy; ledwie po kilku chwilach, słuchać może opisu poświęcenia się Małgorzaty, przypatrzyć się jéj schronieniu. Nigdy okrucieństwo srogiego tyrana, nigdy wściekła zemsta nie wynalazła przykrzejszego mieszkania, dla celu prześladowania swego, nad to, do którego cnota dobrowolnie się udała! Wieża kościoła zembocińskiego tyte tylko miała obwodu, że trzy osoby stanąć wygodnie w niéj mogły; na wiatry i burze równie narażona, jak wierzchołek leśnéj sosny, w górze tylko miała okienko; niedźwiedzia skóra całą jéj była wygodą i ozdobą. Tam przez czas długi mieszka Małgorzata. Dobry pleban, który jéj wskazał z wstrętem to schronienie, dostarczał tajemnie żywności. Miłość bliźniego dodawała mu sił do przebycia codziennie drogi tak przykréj starości, zapominał trudów, skoro Małgorzatę zobaczył.

Nie będę się rozciągać nad opisem radości Mikołaja, żony jego i szanownego plebana; — zdawna wiemy, że język stosując się do wypadków życia ludzkiego, obfitym jest i bogatym w wyrazy żałości, nędznym i ubogim, skoro idzie o wystawienie żywego szczęścia. Nie przyzwyczajona mowa do podobnych opisów, w jednéj chwili wyczerpaną zostaje!... powiem tylko, że po wzajemnych oznakach radości, uwielbienia, zaczęto radzić o wyjściu. Pleban pragnął, aby to siedlisko nieznane światu być mogło; chciał więc, żeby Małgorzata wyszła zaraz z dobrowolnego więzienia, żeby wyznała przed znajomemi, iż skrytą była, lecz zataiła prawdziwe miejsce schronienia. Stało się podług jego woli; szczęśliwy Mikołaj wprowadził tajemnie żonę do zamku. Skoro jutrzenka oświecać zaczęła dzień

tak pomyślny, zwoławszy wszystkich domowników oświadczył im, że Bóg względny na Małgorzaty cnoty, dozwolił jej chronić się przed zbrodnią i gdy się kończyło jéj panowanie, ukazał ją światu. Okrzyki radości odpowiedzią były zgromadzonych dworzan i wieśniaków. Złoto przeznaczone na igrzyska, uczty, któremi Mikołaj chciał szczęście swoje objawić, za prośbą Małgorzaty na wsparcie zniszczonych mieszkań i mieszkańców Zembocina obrócone zostało. Całéj Polski, małżonka uwielbienie, szczęście nienaruszone, nagrodą były cnotliwéj niewiasty, i wtedy gdy kraj cały okrucieństwa przedstawiał obraz, w Zembocinie cnotę i pomyślność widzieć można było.

ŁZA ŻALU.

(Niby legenda).

Mahomet*) ów sławny żył jeszcze na ziemi,
A często zaglądał do nieba —
Co widział, wiadomo — lecz między innemi,
Jedno nam nadmienić potrzeba.

Raz kroczy do raju — i w bramie spotyka
Człowieka w bogatem okryciu,
Który rzewnie płacze — łzy gorzkie połyka...
Choć pewnie szczęśliwym był w życiu.

„Czegóż ten człek płacze? Mahomet się pyta,
„Przy bramie klucznika świętego —
„Czy mu jasność boża nigdy nie zawita?
„Cóż on też uczynił tak złego?...

„Wy mu zamykacie do raju swe wrota,
„On biedny i stoi i płacze na dworze —
„Jeżeli złym człekiem... jeżeli niecnota...
„Daruj mu przewiny o Boże!“

A na to nasz święty odrzeknie w te słowa:
„Sprawiedliw Bóg zawsze i wszędzie,
„Piątego już wieku upływa połowa,
„On stoi tu biedny... stać będzie.

„Za życia miał wszystko: — bogactwa roskosze;
„Lecz serca, litości — za mało;
„Żeby choć miłości posiadał potrosze,
„Toby się tak było nie stało.

„Lecz właśnie nie kochał ni brata — rodzica,
„Nikogo zupełnie na świecie —
„Przeto jemu jasność boża nie przyświeca,
„Bo kochać... należy się przecie(ż).

„On mając pieniądze — drwił sobie z miłości,
„Wszak złoto przyjaciół dostarcza —
„Nie wspierał biednego i nie znał litości,
„Za to go ta kara obarcza.

„A że nie miał serca — nie kochał nikogo,
„Więc nikt go nie kochał nawzajem —
„Za to teraz właśnie pokutuje srogo,
„I wzdycha nadarmo za rajem.

„Gdy umarł... nikt jednej nie wycisnął łezki,
„Bo łzy tylko miłość porodzi;
„Nikt go nie żałował do grobowej deski,
„A każdy ze wstrętem odchodzi.

„A niebo zamknięte dla tego człowieka,
„Po którym nikt płakać nie może,
„Po którym ni jedna zwilżona powieka...
„Ach! takie to prawo jest boże!“

Słysząc to Mahomet — litością wiedziony,
Nad dolą nieszczęsną człowieka —
„*Łzę żalu uronił*“ — że szczęścia korony
Ów biedak nie zazna... choć czeka.

I anioł bieluchny natychmiast się zjawia,
Z radością człekowi tak prawi:
„Bóg ci wiekuiste już szczęście objawia —
„Bo oko za tobą się łzawi!“

I jedna ta łezka zbawienie mu niesie,
I raju otwiera mu wrota —
Bo w sercu zrodzona... a nie w interesie...
A z serca żałować... **to cnota!**

Powiastka to tylko — ale w niej nauka
Prawdziwa się mieści dla ludzi:
„Cnót — serca — litości niech człek w sobie szuka
A miłość dla siebie — obudzi.“

Franciszek Marzec.

*) *Mahomet* (zwany także Muhamedem) ur. r. 571 po Chr. w Mece, w głównem mieście Arabii, ze znakomitej, lecz nie zamożnej rodziny Kureisz. Wcześnie stracił ojca, a potem dziadka, wychowywany przez wuja, budził wielkie nądzieje, bo zdradzał wielkie talenta. Jako nie zamożny był kupczykiem u pewnej bardzo bogatej kupcowej, która widząc w nim sprężystego i tęgiego kupca, poślubiła go lubo znacznie od niego starsza. Jako bogaty teraz kupiec, jeździł w dalekie strony po towary i spotykał się tak z chrześcianami jak żydami a chociaż poganin słyszał często gęsto, tak o Mojżeszu, jak o Jezusie. Lecz ani religia mojżeszowa, ani chrystusowa nie wystarczała dlań; inną religię, która od jego nazwiska, zwie się *Machometańską* czyli *Islamem* i jest złożeniem tak religii mojżeszowej jak religii chrześciańskiej w pewnej części. Religię swoją ogłosił r. 622, umarł zaś r. 632 i jako twórca religii, jest uważany przez Arabów i Turków za takiego świętego, który jeszcze za życia bywał od czasu do czasu w niebie, tak utrzymują Turcy.

To i owo o naszéj ziemi.

(przez Konstantego hr. R....)

(Ciąg dalszy).

Jak z jednej strony morza nastręczają ludziom tyle korzyści, tak z drugiej strony nierzadko dają się im we znaki. Gdy w skutek silnych wiatrów morze się rozhuka, piętrzą się bałwany

do wysokości 30 do 50 łokci — przez to morze występuje na lądy nadbrzeżne, wdziera się z wielką gwałtownością na przyległe pola, miasta — niszczy takowe, czasem ze szczętem, rozwalając domy i unosząc ludzi, bydło, sprzęty i wszystko co w swéj wściekłości napada, razem ze sobą na głębiny — zalewa całe wyspy, jeżeli takowe nie są dość wyniesione nad poziom morza — i rujnuje całe łany zboża, plantacye cukru, kawy — co nierzadko w Ameryce, Azyi i t. d. się dzieje. Gdy taka burza morska, tu i owdzie nazwana Orkanem, Tejfunem, napotyka okręta, czy to gromadnie czy pojedynczo płynące, czy one są żaglowe czy parowe, porywa je ze sobą, rozsypuje po wielkim przestworze, miota niemi jakby łupinami z orzechów — szczęście jeszcze dla takiego okrętu, jeżeli go to spotka na wysokiem, otwartem morzu, bo zwykle takowy wytrzymuje bezszkodnie największe burze, które często gęsto mu żagle obedrą lub maszty połamią, ale przecie po kilku lub kilkunastu godzinach, gdy folgują lub całkiem ustają, okręt taki, jakkolwiek ma żagle podarte lub maszty połamane, zreperuje co mu burza zepsuła, i dąży dalej szczęśliwie do najbliższego portu lub przystani, aby wysadzić ludzi, których wiezie z daleka, lub zładować towary, które przywozi z innych części ziemi — ale biada! takiemu okrętowi, jeżeli w bliskości na morzu znajdują się skały lub brzegi lądu sterczące skałami, lub tak zwane mielizny, t. j. płaszczyzny piaskowe ledwie parę stóp leżące pod powierzchnią morską — taki okręt porwany przez gwałtowny prąd, morze rzuca o te skały, lub wpędza i osadza na mieliźnie — i tłucze go tak gwałtownie pokrywając go bałwanami, że okręt pęka, nabiera wody i wszystko ginie, co żyje na nim. Burza potem rozbija na szczątki i drazgi ugrząźnięte na mieliznach lub skałach okręty i wyrzuca to wszystko na przyległe brzegi, wraz z utopionymi ludźmi, sprzętami, towarami, o ile takowe przez swą ciężkość nie poszły na dno morskie. Często się takie katastrofy zdarzają — były wypadki, że okręt jakiś wyjechał n. p. z Anglii lub Francyi do Ameryki, lub Azyi, lub przeciwnie — o tem wiedzieli ludzie przez telegraf podmorski, których jest dużo pozakładanych na dnie morza, między poszczególnymi krajami i różnemi częściami świata — tu wyglądają przybycia takiego okrętu na pewny dzień, cieszą się przyjaciele, krewni, na przybycie drogich im osób, a tu tymczasem okrętu niewidać, mija dzień, tydzień, miesiąc, ba nawet i więcéj, a tu okrętu jak niewidać tak niewidać, jak kamień w wodę wrzucił, oczywiście gdzieś się rozbił na pełnem morzu, bez śladu, bez świadka, coby o tem mógł powiedzieć — dopiero w rok, we dwa lata, a czasem i później jakiś okręt płynący gdzieś napotyka na pełnem morzu deskę, lub beczkę, lub jakiś sprzęt — i poznaje, że to należy do tego lub owego okrętu, co wtenczas gdzieś bez śladu zginął. Trzeba Wam bowiem wiedzieć, że każdy okręt ma pewną nazwę, liczbę, oznakę, i te bywają na każdym sprzęcie, prawie na każdéj desce wybijane — więc żeglarzom obznajomionym z tem łatwo się domyślić, do jakiego to okrętu należy, kiedy co przypadkiem na morzu napotka. Tak było już dużo wypadków, gdzie takie okręty żaglowe i parowe, mające po pareset a nawet po kilkaset ludzi na pokładzie, ginęły bez śladu. Są to ofiary, które nienasycona paszcza Oceanu połknęła, a jednak któżby z nas zgodził się na to, aby morza nie było? bez tego nie byłoby życia na ziemi, tak jakby nie było życia w ludzkości, gdyby krew w ludziach wyschła lub skrzepła. Opatrzność tak zrobiła, to tak musi być najlepiej, my ani chcieć nie możemy, aby było inaczéj; musimy się więc z tem zgodzić, zwłaszcza, że tego odmienić nie potrafimy.

O stałym lądzie.

Teraz z okrętu wysiadłszy, który chociaż kołatany przez burze morskie, przypłynął szczęśliwie do przystani, obejrzyjmy się po stałym lądzie i pomówmy o tem coś my widzieli lub w książkach wyczytali. Stały ląd więc, we wszystkich 5-ciu częściach naszéj ziemi, przedstawia nam góry, płaszczyzny porośnięte lasami, zbożami i t. p., rzéki, jeziora, i żyjących ludzi i rozmaite zwierzęta.

O górach i wulkanach. Góry są rozmaitych kształtów i wielkości — widzimy n. p. naszą Kostnę, tu znowu Cieteń, a tam na lewo dwa razy wyższą Śnieżnicę, ale i ta maleje wobec Karpat, o kilka mil odległych, które są od Śnieżnicy 3 razy wyższe, i które z tąd i z owąd możemy widzieć, nawet w środku lata śniegiem wiecznym pokryte — są one bowiem tak wysokie, że niektóre ich szczyty sięgają po nad 8000 stóp nad poziom morza — iż śnieg jaki w zimie spadnie, o ile się utrzyma w szczelinach i innych zagłębinach, o ile przez wichry nie jest zdmuchnięty, przetrwa tam przez największe gorąca lata, tak, że stary doczeka się nowego, albowiem na tej wysokości tak jest zimno jak w lodowni — a nasze Tatry czyli Karpaty to są jeszcze mniejsze góry jakie mamy w Euro-

pie, dwa razy bowiem są wyższe Alpy szwajcarskie i tyrolskie, Pyreney między Francyą a Hiszpanią. To też tam mają z nich niektóre nazwy znaczące: tak w Szwajcaryi jest góra Mont-Blanc, co znaczy Biała Góra, Jungfrau, co znaczy panna, niby w bieli, białe są bowiem od stóp do szczytu od śniegu wiecznego, w Pireneach nazwana jest jedna góra: Maladetta, co znaczy przeklęta, druga Mont-Perdu, co znaczy góra zatracona, t. j. że biada śmiałkowi, któryby się odważył na nią wydrapać — mimo tego niema prawie szytu góry, tak w Tatrach naszych jak i w Alpach szwajcarskich i tyrolskich, jak i w Pireneach, żeby silni i ciekawi podróżni na takowych nie byli, chociaż bywały wypadki, że ci śmiałkowie przypłacali to życiem, spadłszy w przepaść z jakiego ubocza góry i potrzaskawszy członki, lub utopiwszy się gdzie w jakiej szczelinie odwiecznego śniegu zlodowaciałego. Prócz tych są jeszcze góry bardzo wielkie w Szwecyi i Norwergii, w Hiszpanii, w Turcyi tak nazwany Bałkan i t. d.

Te góry, jakkolwiek bardzo wysokie, nie są jednak najwyższe na świecie, albowiem przewyższają je pasma gór amerykańskich i azyatyckich. W Ameryce północnéj mamy bardzo rozgałęzione góry, tak zwane Skaliste i Śnieżne, dalej Mexyk jest także kraj bardzo górzysty, zaś pasmo gór południowo-amerykańskich przewyższa największe góry europejskie; szczyty ich bowiem podnoszą się nad 20.000 (dwadzieścia tysięcy) stóp nad poziom, nazywają się ogólnie Andy czyli Kordilery, a szczyty ich najznakomitsze są Chimborazo, La-Paz, Aconcagua i inne. W środkowej Azyi jest najpotężniejszy węzeł gór, zwany Himalaja, i góry Tybetańskie. Tu jest najwyższy szczyt na kuli ziemskiéj zwany Dawalagiri, albo Mount Everest, od kapitana angielskiego tego nazwiska, który wysokość jego zmierzył na przeszło 27000 stóp. Oderwany od tych gór, na granicy europejsko-azyatyckiéj, jest potężny węzeł wywyższenia nad poziom morza pasmo gór Kaukazkich — na południe od tego jest góra Ararat, kilkanaście tysięcy stóp wysoka, na któréj według podania miała Arka Noego osiąśdź po potopie — rozumie się, że wszystkie te góry są wiecznym śniegiem i lodem okryte. W Afryce, któréj wnętrze dopiero w ostatnich kilkunastu latach zostało bliżej poznane, znajdują się także potężne i bardzo wysokie, wiecznym śniegiem okryte góry, ale te jeszcze zmierzone nie zostały, ani nazw osobnych nie dostały — co dopiero późniejsze badania geograficzne uskutecznią. W Australii zdaje się, że niema znaczniejszych gór, chociaż środek jej jest dotąd najmniej znany przez geografów, przeto nic dokładnego nieda się jeszcze w tym względzie powiedzieć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Dział przyrodniczo-ekonomiczny.

I. Nauki przyrodzone.

(Ciąg dalszy.)

O ZIEMI I O POWIETRZU.

(przez L. z L.)

Od czasów stworzenia ziemia uległa bardzo wielu przemianom, zanim jej powierzchnia stała się taką jak ją dzisiaj widzimy. Ostatniem wydarzeniem, które największy wpływ na jej dzisiejszy stan wywarło, był potop powszechny. Ślady tego potopu widoczne są wszędzie, tak w składzie skorupy ziemskiej, jako też w warstwach głębszych. Na wyspach i przy ujściach rzek północnych, gdzie największe zimno dzisiaj panuje, znajdowane są kości i całe szkielety źwierząt, które tylko w krajach gorących żyć mogą, a które więc, albo przy potopie wodą zaniesione zostały, albo przed potopem gorąco tam być musiało. Wykopują tam także zwęglone drzewa palmowe, które rosną tylko w krajach gorących. Po górach i w składzie skał znajdują się muszle, ryby i rośliny morskie skamieniałe, które najdowodniej okazują, że tu, gdzie dzisiaj jest ląd stały i wysokie góry, było niegdyś dno morskie. Do utworzenia się więc teraźniejszej powierzchni ziemi, ogień i woda najbardziej się przyczyniły, a według tego, jak przeważał jeden z tych żywiołów lub drugi, tworzyły się źwierzęta, rośliny i kruszce. Naszą Ojczyznę zaopatrzył Pan Bóg bardzo sowicie w to wszystko. Na powierzchni mamy ziemię urodzajną, dostatek wszelkiego rodzaju różnych zwierząt i roślin, a w głębiach jej rozmaite ziemie, kamienie i kruszce. Srebra dotąd mało, złota wcale w ziemi naszej nie znaleziono, ale za to są w niej niewyczerpane pokłady żelaza, miedzi, ołowiu, cynku, marmurów, kamiennego węgla, wapna, siarki, soli i mnóstwo innych rzeczy nieocenionej wartości. Tak jest z ziemią, a teraz co do powietrza i tego wszystkiego, co jest po nad ziemią. Po nad głowami naszemi widzimy słońce, księżyc i nieprzeliczone gwiazdy, na milijony milijonów mil od ziemi odległe; o tych w innem miejscu powiemy, — tu obejrzymy pokrótce bliższe ziemi zjawiska powietrzne, jakiemi są: chmury, mgła, deszcz, rosa, śnieg, grad, błyskawica, grzmoty, pioruny, tęcza i zorza.

Chmury. To, co po nad ziemią i po nad nami, w postaci chmur czyli obłoków widzimy, to są wyziewy wilgotne ziemskie unoszone wiatrem, i za każdym powiewem jego zmieniające się w rozmaite kształty. Chmury te nie leżą tak wysoko, jak to na pozór wydaje się, — zaledwie na ćwierć albo półmili, a najwięcej na jedną milę. Ludzie mieszkający na wysokich górach, często znajdują się po nad chmurami, tak, że nieraz widzą, iż kiedy na dolinach ciemno i deszcz, to u nich słońce świeci i najpiękniejsza pogoda. Jak chmur, czyli wyziewów wilgotnych w powietrzu niéma, to niebo przedstawia się błękitnie, i to jest kolor powietrza, którem oddychamy. Rozmaitość w kolorach chmur powstaje z rozmaitego ich położenia względem światła dziennego lub nocnego, mniejszej albo większej ich gęstości wodnistej: oraz siły i kierunku wiatru.

Mgła. Ta tworzy się po nad samą ziemią z wyziewów wydobywających z miejsc wilgotnych i zgęszczających się ku schyłkowi dnia. Pomiędzy mgłą a chmurą, ta jest tylko różnica, że mgła cięższą jest od chmury, to też jak mgłę ciepło słoneczne rozgrzeje, to ona podnosi się w górę, czyli ulatnia się, i tworzy obłoki czyli chmury.

Deszcz. To, co nazywamy deszczem, to jest mgła czyli woda zgęszczona w chmurach przez zimno, i tym sposobem zamieniona na krople spadające na ziemię.

Rosa. Są to także kropelki wody zbierające się pod wieczór i przez całą noc, szczególniej na roślinach przy samej ziemi położonych, a pod gołem niebem rosnących. Rosa nie pada z nieba, czyli z obłoków, albo chmur, jak to niektórym ludziom zdaje się, ale tak samo tworzy się z wyziewów ziemskich jak mgła i chmury, tylko niżej jeszcze od nich, przy samej ziemi, podobnie jak to dzieje się na szybach okna, kiedy ciepło w izbie, a zimno na dworze. Rosa oświecona słońcem lub odbitem od słońca światłem księżyca, błyska jak brylanty albo perełki, a przytem nadzwyczajnie dobroczynny wpływ wywiera na wszystkie rośliny.

Śnieg, jak to wyżej powiedziało się, jest to woda lekko zmrożona, i w postaci płatek spadająca na ziemię.

Grad zaś, jest to woda, czyli krople deszczu na twardy lód zamienione, a zachowujące postać swoją wodnistą; stąd są różnej wielkości i różnego kształtu, — prosa, grochu, orzecha, często jaj gołębich, kurzych, a czasem nawet gęsich i większych. Gdyby te krople wody nie były na lód zmarzły w powietrzu, to spadłyby na ziemię w postaci śniegu, albo deszczu drobnego, wielkiego lub też ulewnego, stosownie do ich wielkości i ilości.

Błyskawice, Grzmoty i Pioruny, są to skutki ognia w powietrzu, który w niem, tak jak w kamieniu, w żelazie, w zapałce, słowem znajduje się wszędzie; a huk przytem słyszany, jest to jak huk pochodzący ze strzelby ręcznej, albo z działa czyli z armaty i to są grzmoty.

Tęcza nakoniec i *Zorza* tworzą się z promieni słońca, tak jak nad ziemią w kroplach rosy na roślinach perełki, odbywających się w kroplach wodnych, deszczowych albo śnieżnych w powietrzu.

Nowiny ze świata.

Austro-Węgry. Wyście Bracia mili! byli wystawieni pierwsi na próbę przy nowych wyborach, pokusiéście nie ulegli — daliście dobry przykład, a dziś i z innych kuryj wybory ukończone — i nie pozostaje nic innego, jak złożyć Najwyższemu dzięki, że nam dał tę przytomność, tę światłość umysłu, żeśmy należyty wybór uczynili, a patrzyliśmy nie na osobistości, gardzili rzucanym podle groszem — ale patrzyliśmy na czyny i sądziliśmy po czynach. W dniu 3. lipca wybierały miasta, 7. lipca Izby handlowe, 9. lipca kurye większych posiadłości, i wszędzie był ten sam duch, ta sama dążność. **Niech żyją narodowi posłowie do Rady państwa!** — Czesi wstępują do Rady państwa.

Francya. W sobotę tj. dnia 12. lipca odbył się pogrzeb uroczysty z wojskowymi honorami śp. księcia Ludwika Napoleona, którego zwłoki z czwartku na piątek w nocy przypłynęły na wojennym statku. Tym razem musi syn cesarski, syn Napoleona III. być pogrzebanym na obcéj ziemi bo w Anglii, a dopiero niedawny prezydent rzeczypospolitéj Mac-Mahon nie dostał pozwolenia nawet, aby mógł wyjechać do Anglii i tam grudkę ziemi rzucić na grób tego, za którego jest dziś prawie prześladowany. Książe Hieronim Napoleon wraz z synami wyjechał do Chislehurst na pogrzeb i ma się pojednać przy zwłokach z excesarzową Eugenią i partyą Bonapartystów.

Bułgarya. Książe Battenberg Aleksander I, który jest udzielnym księciem niezależnego księstwa Bułgarskiego, przejeżdżał przez Rzym i w téj chwili pewnie jest w Konstantynopolu, aby odebrać z rąk sułtana godność książęcą, według osnowy traktatu berlińskiego. Powitają go niebawem swoi. Zwracaliśmy i zwracamy na te wypadki uwagę naszych Czytelników, bo utworzenie księstwa Bułgarskiego niezawisłego jest i z naszą dolą, z naszą historyą obecną nie bez pewnego związku. Jeżeli Rosya wywiesiła sztandar niepodległości dla Bułgarów, to się znajdzie przecie ktoś, kto wywiesi chorągiew niepodległości naszéj Ojczyzny! Książe Battenberg odwiedził w przejeździe przez Rzym Ojca świętego Leona XIII. i oświadczył, że katoliccy jego poddani nie doznają pod jego rządami ucisku lub przeszkody w wykonywaniu swych praktyk religijnych. Bóg mu zapłać i za to!

Dowiadujemy się w téj chwili, że ks. Battenberg powrócił z Konstantynopola, w Warnie witany wśród okrzyków, już złożył przysięgę w Tirnowy na konstytucyą, a rezydować będzie w Zofii, mieście warownem, położonem prawie w Bałkanach.

Skrzynka listowa redakcyi.

Wmu Aleksandrowi B. w seminaryum duchownem w Tarnowie. Za słowa życzliwe stokrotne przyjmijcie Bóg zapłać! Zupełnie się zgadzamy z Waszem zapatrywaniem. My tu po miastach, Wy jako przewodnicy i rzecznicy ludu po wsiach, kiedy sobie wspólnie i zgodnie podamy ręce, to możemy niezmiernie wiele dobrego dla oświaty ludowéj zdziałać i podnieść lud z upadku, w jaki go zły przykład, zły wpływ, nałogi, źli doradzcy i nędza wtrąciły. Wasze słowa są nam zadatkiem że będzie lepiej, że pójdziemy do ludu wspólnie, i my w Was a Wy w nas znajdziemy sprzymierzeńców i współpracowników dla Kościoła i dla Ojczyzny! Cieszymy się, że w tem Seminaryum, z którego tylu wyszło Ojców i Opiekunów ludu, nie gaśnie nigdy ten duch ofiary właściwy każdemu polskiemu i katolickiemu sercu, ale przeciwnie że dzisiejsze młode pokolenie Lewi równie jak starsze stawia sobie przed oczy dla swego poświęcenia najpiękniejsze zadania, a z niemi i przez nie horoskopy lepszej przyszłości. Dopomoż nam Boże! Ściskamy Wasze dłonie i polecamy się tak Waszéj Wny Księże Aleksandrze jak Waszych Współtowarzyszy pamięci a sercu. „Włościanina“ i „Zagrodę“ będziemy jak dotąd pod wskazanym adresem gratis posyłać. O artykuły i teraz i na przyszłość prosimy.

— Wszystkich Wnych Panów nauczycieli wiejskich prosimy o rychłe zgłoszenie się do swych Rad powiatowych z prośbą, aby zapłaciły zaległą prenumeratę, bo trudno aby Rady powiatowe zgłaszały się po wszystkich szkołach, przecież łatwiej kilku do jednego przyjść, niż jednemu do kilku — zwłaszcza gdy płaci.

Właściciel, wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Aleks. Kroll.** Druk W. Korneckiego.